

„To schronisko było potrzebne wszystkim”

System zamknięty

TYGODNIK
ANGORA

Dowody leżały na talerzu kilka lat. Zeznania świadków zęciana się nad zwierzętami, analizy organizacji pozarządowych dowodzące tajemniczego zniknięcia tysięcy psów, przepisy dające podstawę ukarania winnych. Większość dokumentów zamieszczono w internecie, wystarczyło zrobić z nich użytek. Dlaczego nikt tego nie zrobił?

Wojtyszki – największe schronisko w Polsce – działa od blisko dziesięciu lat. Betonowy płot na odludziu otacza włości właściciela – Longina Siemińskiego, a w nich stu pracowników nadzorujących ponad trzy tysiące psów skupionych głównie w olbrzymich boksach. Boks to szumna nazwa: chodzi o wydzieloną murem przestrzeń pod gołym niebem, w której na ziemię wysypano piach, a po bokach ułożono drewniane podesty, na które wysypywane jest pożywienie – mięsne odpady z pobliskich zakładów. I jeszcze jeden obowiązkowy element: czuwający za siatką pracownik uzbrojony w bat, którego użyje, jeśli psy zaczną się gryźć. Ponieważ w stadzie kilkudziesięciu psów ataki na słabsze jednostki to norma, zagryzień i tak uniknąć się nie da. Zdaniem byłych pracowników, dochodzi do nich nawet kilka razy w tygodniu.

Organizację prozwierzęcą nazywają Wojtyszki „obozem koncentracyjnym dla zwierząt”, ale rzecz lepiej oddaje określenie używane przez samego właściciela – „firma”. Choć sam Longin Siemiński rozmowy o pieniądzu unika, wpływy można policzyć. Płatnicy to gminy, ponad sto z całej Polski, które w myśl prawa odpowiadają za opiekę nad bezdomnymi zwierzętami na swoim terenie. Szczęśliwie, że na swojej drodze spotkały ofertę „firmy”, która pomogła im rozwiązać uciążliwy problem, podpisały umowy z przedsiębiorstwem Wojtyszki. Ludzie „firmy” wylapują psy na terenie gminy, a następnie pobierają opłatę (dzienną) za utrzymanie każdego psa w schronisku. Pięć złotych plus VAT dziennie od sztuki pomnożone przez 3421 psów (tyle obecnie mieszka w Wojtyszkach) daje rocznie ponad sześć milionów dwieście tysięcy złotych netto.

Upchnięty w megaboksie pies kosztuje mniej niż w normalnym schronisku, a nadzorujący zwierzęta

pracownicy rekrutowani byli m.in. spośród mieszkających na dworcach bezdomnych. Wojtyszki stawiały się dla nich zarówno miejscem pracy, jak i domem. Wiedzieli, że jeśli odejdą, wrócą na dworzec.

Mechanizm Siemińskiego, choć ewidentnie sprzeczny z prawem, przez lata działał bez zarzutu.

Inspektor nie widzi

Na pozór system zbudowano logicznie: schroniska dla zwierząt w całym kraju kontroluje państwowy inspektor – powiatowy lekarz wete-

rząt pogryzionych, które miały ropiejące, kilkudniowe rany i często nie dało się ich uratować ze względu na zbyt późne zauważenie pogryzienia przez pracownika z boksu. Ciała tych psów wyglądały jak sita, całe podbrzusza były jedną wielką raną. Rany się nie goiły, psy przebywały na mrozie. W ciągu dwóch miesięcy zostało zagryzionych ok. 20 psów, o których wiedziałam. Brakowało podstawowych środków do eutanazji zwierząt; pani X kazała mi usypiać psy denaturatem, a sam pan Y przychodził ze strzykawką wypeł-



rynarii. Na zwierzętach się zna, ma też narzędzia, by reagować – jego negatywna ocena może doprowadzić do likwidacji schroniska, a w wypadku zęciana się nad zwierzętami – do ukarania właściciela.

Wojtyszki oczywiście były kontrolowane. Leszek Przewłocki, powiatowy weterynarz z Sieradza, zanim wyjąłem twarde dowody, powtarzał jak mantrę to, co wcześniej mówił innym dziennikarzom i urzędnikom przez lata: „Wojtyszki zapewniają dobre jak na schronisko warunki życia psów”.

Po publikacji reportażu dotyczącego Wojtyszek rozdzwoniły się telefony od byłych pracowników, ale ta relacja lekarki weterynarii była dostępna w internecie od dawna: „Byłam zatrudniona w Wojtyszkach od stycznia do marca 2010. Zabiegi, które wykonywałam, dotyczyły zwie-

nioną nieznaną mi substancją i po zaaplikowaniu niewielkiej ilości zwierzęta odchodziły w bardzo szybkim tempie. Zastrzyki podawał psom domięśniowo. Byłam wielokrotnie świadkiem zęciana się pana Y na chorych i nieuleczalnych (pogryzionych) zwierzętach, które w wyniku zadanych ran męczyły się, zdychając w cierpieniach, ponieważ pan Y kategorycznie zakazał skrócenia ich cierpienia. Kazał ratować je za wszelką cenę, mimo iż okiem lekarza takie zwierzę męczyło się, cierpiało i wymagana była w tych przypadkach eutanazja. Codziennie w porze karmienia miałam obowiązek obejrzenia wszystkich psów na terenie schroniska. Wylapanie pogryzionych sztuk było utrudnione, ze względu na nadmiar psów w boksach, których było przeciętnie od 30 do 80 sztuk. Podczas karmienia

psy zachowywały się bardzo agresywnie, rzucały się na siebie, były rozdzielane batem, ale było to nieskuteczne.

Czułam się jako lekarz ludzi, ponieważ pracownicy schroniska nie mieli stałej opieki medycznej. Oczyszczałam rany gryzione, szylałam i podawałam leki z własnej apteczki. Odniosłam wrażenie, że ci ludzie nie posiadali świadczeń medycznych. Pan Siemiński karał swoich pracowników finansowo, za każde pogryzienie odliczał 150 zł od pensji. Alkohol dostawali za dobrze wykonaną pracę; w ramach kary wstrzymywano im tę nagrodę. Standardowym wyposażeniem każdego pracownika były i są kije zakończone sznurkiem z węzłkami, którymi to kijami psy były rozdzielane i zmuszane do posłuszeństwa".

Powiatowy lekarz przez kilka lat nie zauważył tej i innych drastycznych relacji, nie zauważył też (choć osobiście bywał w Wojtyszkach), że obiekt nie spełnia wymogów, na które według przepisów powinien zwracać szczególną uwagę (normy powierzchni na psa, istnienie wybiegu, ochrona przed mrozem i opadami, osobna miska i legowisko dla każdego zwierzęcia). Mało tego: nie dostrzegł nawet, że na terenie schroniska mieszkają ludzie i że mieści się tam prywatne zoo właściciela z małpami i innymi egzotycznymi okazami! A każda z tych okoliczności wyklucza możliwość prowadzenia w takim miejscu schroniska.

Powiatowy inspektor i jego ludzie kontrolowali Wojtyszki wielokrotnie i nigdy nie dopatrzyli się poważnych zaniedbań. Protokoły z tych kontroli okazały się później niezwykle pomocne dla szefa Wojtyszek.

Tadeusz Wypych, szef Fundacji dla Zwierząt „Argos”, mówi dziś: – To, co w tej sprawie wyczyniała weterynaria, wskazuje ewidentnie na możliwość popełnienia przestępstwa. Są tylko dwa logiczne wytłumaczenia tej trwającej przez lata sytuacji: skrajna głupota lub gratyfikacja finansowa.

Szef fundacji wie, co mówi. Dokumenty i relacje zamieszczane w sieci przez jego organizację i zaprzyjawnione Biuro Ochrony Zwierząt już dawno mogły stać się podstawą likwidacji psiego obozu.

Prokuratura ufa inspektorom

Efekt prób zainteresowania prokuratury sprawą Wojtyszek był zawsze jednaki: odmowa zajęcia się sprawą lub – po powierzchownych działaniach – umorzenie. Data ostatniej odmowy: jesień zeszłego

roku. Prokurator Rejonowy w Sieradzu Arkadiusz Majewski przeczytał cieniułki tom akt i tłumaczy mi: – Nie prowadziliśmy śledztwa, tylko czynności sprawdzające zakończone odmową prowadzenia postępowania, więc one były siłą rzeczy ograniczone.

– Na jakiej podstawie uznaliście, że nie ma mowy o przestępstwie z ustawy o ochronie zwierząt?

Majewski: – Schronisko podlega nadzorowi fachowych służb weterynaryjnych, a wszystkie protokoły ich kontroli były pozytywne. Także gminy kontrolowały warunki w schronisku i nie zgłaszały zastrzeżeń. Była też kontrola Najwyższej Izby Kontroli, także pozytywna.

To nie do końca prawda: choć NIK (także korzystająca z pomocy inspektorów weterynaryjnych) przedstawiła pozytywną konkluzję, w raportach znalazły się ustalenia, które powinny przykuć uwagę śledczych: nieprawidłowe przechowywanie leków narkotycznych, prowadzenie działalności bez wymaganego zezwolenia, brak wymaganego prawem wybiegu dla psów, „zagrożenie zwierząt, które uniemożliwia zapewnienie dobrostanu” i dziwna rozbieżność między danymi dotyczącymi utylizacji padłych zwierząt a deklarowaną liczbą śmierci psów.

– Czyli prokuratura oparła się na ustaleniach zewnętrznych instytucji? – pytam dalej.

– Tak, bo one są upoważnione przede wszystkim do tego typu kontroli.

– A jeśli te instytucje się myliły?

– Musimy działać na zasadzie zaufania do instytucji kontrolnych.

Prokurator najwyraźniej nie rozumie, że gdyby instytucje kontrolne robiły swoje, prokuraturę moż-

na by w zasadzie rozwiązać, a jej rola polega na tym, by działać, gdy zawodzi system. Mimo to pytam o powszechnie znane zeznania byłych pracowników Wojtyszek. Ku mojemu zdziwieniu okazuje się, że wstrząsająca relacja lekarki weterynarii była znana prokuraturze.

– Nie daliśmy tym relacjom wiary, bo lekarka podobnie jak inne osoby była skonfliktowana z właścicielem. Tak zeznał on sam. Zwolnił ją dyscyplinarnie z pracy.

– I co z tego ma wynikać? Czy prokuratura sama sprawdziła te relacje, chociażby lekarki?

– Nie, to były tylko czynności sprawdzające, a nie śledztwo.

Zrobiliśmy to, czego nie zrobił prokurator. Wiele elementów relacji lekarki pokrywa się z niezależnymi od niej opiniami innych pracowników, do których – w przeciwieństwie do śledczych – udało nam się osobiście dotrzeć. Część faktów, m.in. dotyczących warunków w psich bokach, potwierdziliśmy sami podczas wizyt w schronisku, zanim właści-

ciel zorientował się, że raportaż nie będzie laurką dla Wojtyszek, i nas wyrzucił. Wyrzucił nas, gdy padły pytania o zaginione zwierzęta, których liczbę (grubo ponad tysiąc psów) ustalili działacze organizacji pozarządowych, analizując liczbę psów przywożonych do Wojtyszek z kolejnych gmin. Prokurator nie zainteresował się także tym wątkiem sprawy.

Gminy ufają inspektorom i prokuraturze

Skontaktowaliśmy się z kilkunastoma z ponad stu gmin, które podpisały umowy ze schroniskiem Siemińskiego, a odpowiedzi wszędzie były podobne: „Dlaczego mamy mieć zastrzeżenia do Wojtyszek, skoro nie ma ich ani weterynaria, ani prokuratura?”.

Jedną z tych gmin to Sieradz: – Nasze kontrole w schronisku wypadły pozytywnie, byliśmy zadowoleni ze współpracy – relacjonuje przedstawiciel Urzędu Miasta.

Pozytywne wnioski sieradzkiej kontroli były jedną z „podpórek” dla decyzji prokuratury o odmowie wszczęcia śledztwa.

Sieradz poszedł nawet krok dalej: zawarł z Wojtyszkami umowę, na mocy której przekazał schronisku za jednorazową opłatą psy na własność. Po protestach organizacji prozwierzęcych sprzeczną z prawem umowę uchylił sąd.

– Gmina chciała za gotówkę pozbyć się obowiązków publicznych. Co ciekawe, w innych miastach takie numery przechodziły – mówi Tadeusz Wypych z fundacji „Argos”, który ma swoją teorię dotyczącą wieloletniego utrzymywania się Wojtyszek na powierzchni: – System nie lubi się sam naprawiać, lepiej dla wszystkich, jeśli udają, że działa prawidłowo.

A ten facet był potrzebny wszystkim. Gminom, którym wrzucono do zadań zajmowanie się bezdomnymi psami, i inspektorom weterynarii, którzy tak naprawdę są rozliczani z zachowania bezpieczeństwa epidemiologicznego i ich sposób oceny psów jest podobny do oceny zwierząt hodowlanych. A póki psy są skupione na ogrodzonym terenie, nikomu nie zagrażają. Siemiński zwrócił na siebie uwagę, stosując nowatorską stawkę dzienną, co spowodowało olbrzymią skalę biznesu i trzymanie psa jak najtaniej i jak najdłużej. Jednak metody stosowane w innych pseudoschroniskach są prostsze: jednorazowa opłata od gminy za odłowienie psa i pies w schronisku znika.

Reakcja

Roman Owecki, wojewódzki lekarz weterynarii w Łodzi, kiedy dzwonię do niego niespełna dwa tygodnie po publikacji reportażu o Wojtyszkach, strzela jak z karabinu konkretnymi działaniami, które zdążył podjąć: – Zarządziłem kontrolę wszystkich schronisk w województwie przez powiatowych inspektorów; do piątku będą raporty. Powiatowym inspektorem z Sieradza, który nie widział, co się dzieje w Wojtyszkach, zajmie się rzecznik dyscyplinarny, a wobec schroniska została wydana decyzja zakazująca przyjmowania kolejnych psów.

To nie wszystko: inspektor z Łodzi wybrał się też z wizytą do łódzkiej siedziby firmy L. Siemińskiego, która niezarejestrowana jako schronisko – od dawna uniemożliwiała inwentaryzację psów i oficjalne stwierdzenie braku wielu zwierząt. – Niestety, nie wpuszczono inspektora do środka, ale następnym razem przyjdziemy z policją – zapowiada groźnie Roman Owecki. Wojewódzki lekarz weterynarii sam też złożył w sprawie Wojtyszek kolejne doniesienie o popełnieniu przestępstwa do sieradzkiej prokuratury. Ciekawe, co teraz zrobią śledczy?

**Tekst i zdjęcia:
TOMASZ PATORA**

Autor na co dzień jest reporterem programu „Uwaga!” TVN.

PIESKIE ŻYCIE

